

Tomasz Kowalczuk: Gombrowicz i Polska

Jeśli Gombrowicz jest tak krytyczny wobec polskiej kultury, wobec polskiej małości intelektualnej, zaściankowości, ale też właśnie wobec bezzasadnego i zabójczego zamknięcia na uniwersalia pod fałszywym pretekstem obrony polskości, to nie dlatego, że się jej wstydzi i wyrzeka, ale właśnie z miłości i z marzenia o wspaniałej polskości – pisze Tomasz Kowalczuk w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Gombrowicz. (Re)forma polskości”.

W polskiej tradycji kulturowej od 200 lat konkurują dwa schematy. Jeden uznający prymat powinności patriotycznych nad uniwersalnymi, drugi – wykraczający poza polską perspektywę ku ogólniejszej, jednocześnie próbujący uzgodnić te dwie perspektywy. Wynika to w sposób oczywisty z historii, nawet nie z cezury trzeciego rozbioru, ale z 1831 roku, upadku Powstania Listopadowego, zmuszającego Polaków do ostatecznego uznania, że rzeczywistość rozbiorowa nie jest rzeczywistością przejściowej taktycznej porażki jak wcześniej potop szwedzki a sto lat później okupacja hitlerowska, ale ma skutki, których trwałość trudno oszacować. Raczej tak, jak po 1945 roku. Zarówno po 1831 roku, jak i ponad sto lat później Polacy musieli uchronić byt narodowy w dziejowej konieczności rozbiorowej w XIX wieku i sowieckiej w wieku XX. Musieli sobie przez dwa wieki odpowiadać na pytanie, jak być wolnym w więzieniu, a jednocześnie, by nie ulec pokusie okopania się i zamknięcia.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

W dzieło utrzymywania polskiej tożsamości narodowej w pierwszym rządzie włączyła się literatura. Kolejne epoki historyczno-literackie i podbudowujące je prądy filozoficzne w Polsce były interpretowane instrumentalnie, w pierwszym rządzie w kontekście narodowym i niepodległościowym. Dlatego począwszy od romantyzmu, literatura polska przybiera kształt specyficzny aż do znamienych i uwalniających słów „Wiosną, niechaj wiosnę, nie Polskę, zobaczę” Jana Lechonia wypowiedziane u progu Dwudziestolecia, a jednocześnie u progu II RP.

Perspektywa jednostki i jej szczęścia osobistego przestaje być wartością wobec opresji narodu. Gustaw porzuca swą indywidualną perspektywę nie tylko z powodu wietrznej istoty ukochanej, lecz także dlatego by stać się Prometeuszem walczącym o szczęśliwy świat, którego z niewiadomych przyczyn nie udało się stworzyć Bogu. Źródłem zaś nieszczęścia nie jest w pierwszym rządzie śmierć czy nawet nieszczęśliwa miłość jak u Goethego, czy Mary Shelley, ale cierpienie narodu wybranego ukrzyżowanego na krzyżu o ramionach długich na całą Europę.

Literacką ikoną patriotyzmu w Polsce jest jednak raczej Henryk Sienkiewicz, twórca *Trylogii* oczywiście, a nie *Bez Dogmatu*. Dopiero później w tym kontekście pojawić się może Adam Mickiewicz i *Pan Tadeusz*. W walterscottowskiej wizji Sienkiewicza śmierć Michała

*Czy Witold Gombrowicz
kiedykolwiek przestał być
Polakiem, czy zdradził swą
polskość, czy się jej wyrzekł, a
nawet czy jej nienawidził w
sobie?*

Wołodyjowskiego
wydaje się prawie
wydarzeniem
radosnym. Jest
bowiem moralnym
zwycięstwem, a
zarazem
potwierdzeniem, że
jedyny sprawiedliwy
naród skazany jest

na ofiarę. Inną ikoną patriotyzmu w podobnym duchu jest *Mazurek Dąbrowskiego*, który dużo lepiej opisuje polską porobiorową emocjonalność narodową niż królewskie *Gaude Mater Polonia*. Nieszczęście może polegać tylko na tym, że jest tak do dziś.

W tym kontekście upomnienie się o wymiar jednostkowy było odczytywane często jako co najmniej niestosowność, egoizm, a dalej zdrada idei narodowej. Tymi zaś w kulturze polskiej, którzy nie chcieli zrezygnować z jednostkowości, a nawet czynili ją – o zgrozo – swą główną powinnością byli najpierw Cyprian Norwid, a później Witold Gombrowicz. Obaj do dziś obcy Polakom. Opozycja Sienkiewicza i Gombrowicza, eksponowana za czasów ministra edukacji Romana Giertycha, jest więc kluczowa dla opisu walki o rząd dusz Polaków. Wcześniej Norwid przebył drogę od Polaka do Człowieka, irytowało go społeczeństwo żadne, choć wielbił naród pierwszy, domagał się, by każdy czyn poprzedzała książka, refleksja, rozum przed emocjami. Po nim sto lat później z inspiracji egzystencjalnej na podobny szlak wyruszył Gombrowicz. Porzucenie i poświęcenie perspektywy indywidualnej na rzecz zbiorowości, podporządkowanie bytu jednostkowego, bytowi narodowemu, o którym pisałem wcześniej, było dla Gombrowicza nie do przyjęcia, było zbrodnią przeciw Człowiekowi

w człowieku. Człowiek bowiem ma przede wszystkim powinności wobec siebie. Najpierw jest człowiekiem, dopiero potem Polakiem, Argentyńczykiem czy Bułgarem, mężczyzną czy kobietą, konserwatystą czy liberałem, sędzią, nauczycielem czy górnikiem – za siebie jest tylko odpowiedzialny.

Gombrowicz dokonuje zwrotu odwrotnego niż u Mickiewicza, nie od jednostki do ogółu, ale od ogółu do jednostkowości, do słynnego Gombrowiczowskiego Ja, które z lenistwa intelektualnego z obrzydzeniem załatwiamy etykietą egoizmu. Stąd dyrektywa rozpatrywania bytu ludzkiego w pierwszym rzędzie przez pryzmat jego indywidualności, a dopiero później – jeśli w ogóle – przez pryzmat przynależności do jakiegokolwiek grupy, w tym narodu w całości. Jednostkowość ta nie jest wcale – jak wielu sądzi – tylko egotyczna, egocentryczna, egoistyczna, wynosząca ponad innych, narcystyczna. Jest także, a nawet przede wszystkim, źródłem rosnącej samotności zarówno w wymiarze zwykłych codziennych kontaktów z drugim, jak i w egzystencjalnym poczuciu samotności wyboru i odpowiedzialności. Dlatego Gombrowicz tak eksponuje swą jednostkowość. Z jednej strony w często cytowanym „w poniedziałek – Ja, we wtorek – Ja, w środę – Ja, w czwartek – Ja” dokonuje Kierkegaardiańskiego aktu rozpacz, że się chce być sobą. Chce się i musi realizować siebie. Z drugiej, zadając w *Dzienniku* dramatyczne pytanie „jak nie być sobą?”, ulega rozpacz, że się sobą być nie chce, że jednostkowość pielęgnowana staje się równocześnie przekleństwem.

Pozostaje pytanie, czy Witold Gombrowicz kiedykolwiek przestał być Polakiem, czy zdradził swą polskość, czy się jej wyrzekł, a nawet czy jej nienawidził w sobie? Czy wsiadając na statek w Gdyni i odpływając z Polski na godziny przed apokalipsą wrześniową, nie pozostawił jej na

Witold Gombrowicz jest najpierw Ja, Witoldem Gombrowiczem dopiero później kimkolwiek, jest Sartre'owskim bytem dla siebie, jest określany przez nicość

nabrzeżu portowym,
nie dał dowodu
tchórzostwa i
obojętności wobec
bytu narodowego, jak
często się mu
zarzuca, podobnie
jak Mickiewiczowi
jego absencję w
powstaniu?
Wreszcie, co
najważniejsze: czy

powinności wobec swojej jednostkowości stoją w sprzeczności z byciem członkiem zbiorowości?

Michał Wołodyjowski w Kamieńcu Podolskim był najpierw Polakiem, a dopiero później Michałem Wołodyjowskim, mężem Basi. Witold Gombrowicz inaczej jest najpierw Ja, Witoldem Gombrowiczem dopiero później kimkolwiek, jest Sartre'owskim bytem dla siebie, jest określany przez nicość. Bycie Polakiem nie ulega jednak dla Gombrowicza wątpliwości. Wielokrotnie daje temu dowody na piśmie. Nie chce jednak, by polskość była konwencją nawet najpiękniej obudowaną. W typowy dla siebie sposób przejawia tu daleko idącą podejrzliwość i prześmiewczość wobec najbardziej wyszukanych i podniosłych rytuałów. One bowiem, zamiast Polskę „zielenić”, jeszcze bardziej wtłaczają ją w konwencję i życie „man”, rodząc zarazem obawę o wewnętrzną pustkę zgodnie z jednym z najbardziej znanych Gombrowiczowskich cytatów: „im mądrzej, tym głupiej”. Nie chce, by manifestowało się konwencjonalnym „pysznieniem się” polskością, nie chce, by górowało nad człowieczeństwem, by było formą narzuconą, a nie wybraną, uświadomioną i krytycznie przepracowaną. Jeśli bowiem

patriotyzm rozumieć jako miłość ojczyzny, to przecież miłość objawia się nie tylko, a nawet nie przede wszystkim w zakochaniu, bezkrytycznym uwielbieniu i bezwarunkowej akceptacji. Miłość paradoksalnie jest i powinna być źródłem znacznie radykalniejszego krytycyzmu, większej bezkompromisowości ocen i rozdrapywania ran, dogłębnego bólu wobec wszystkiego tego, co pomniejsza obiekt miłości, czyli ojczyznę właśnie, wobec wszystkiego, co obiekt miłości kompromituje, bo równocześnie kompromituje mnie jako Polaka. Większe też znaczenie ma ta kompromitacja, kiedy jest autokompromitacją. Ta boli w dwójnasób. Jeśli więc Gombrowicz jest tak krytyczny właśnie wobec polskiej kultury, wobec polskiej małości intelektualnej, zaściankowości, ale też właśnie wobec bezzasadnego i zabójczego zamknięcia na uniwersalia pod fałszywym pretekstem obrony polskości, to nie dlatego, że się tej polskości wstydzi i wyrzeka, ale właśnie z miłości i z marzenia o wspaniałej polskości. Małość Argentyńczyków, z którymi spędził ponad ćwierć wieku, z pełnym szacunkiem nie interesuje go wcale. Dlatego właśnie jest nieufny wobec polskiej sztuki narodowej, obawiając się, że tej narodowości właśnie, która zamyka i ogranicza. Ubolewa, że polska literatura nie ma swojego Dostojewskiego, że podporządkowała się konieczności dziejowej, której nie chciał podporządkować się Norwid, że zrezygnowała z uniwersalizmu w imię fałszywej obawy, że uniwersalizm jest zdradą polskości.

W konsekwencji Gombrowicz mówi przecież to, co jest obecne niemalże w sferze frazesu, że polskość nie jest związana z miejscem na mapie, ale z samoświadomością, która jakby to powiedzieć, podróżuje razem z człowiekiem, dokądkolwiek go życie rzuci. Polskość jest bowiem atrybutem naszej najgłębszej tożsamości, a jak najgłębsze

rozumienie swej tożsamości jest warunkiem dialogu z innymi,
otwartości bez obawy o zatracenie, jest warunkiem prawdziwej
wielkości.

Tomasz Kowalczyk



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego